NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 16·30, Mk 10·90. Półrocznie K 32·60, Mk 21·80. Rocznie K 65·20, Mk 43·60. W Austryi: Kwartalnie K 16·30. Półrocznie K 32·60. Rocznie K 65·20. W Niemczech: Kwartalnie Mk 10·90. Półrocznie Mk 21·80. Rocznie Mk 43·60 z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 1 kor. 30 hal. — 88 pf.

Rok XVI. | Kraków, 21 czerwca 1919. | Nr. 25

Wojsko polskie na Litwie.



1) Odpoczynek. 2) Podpułk. Zulauf (X) w grupie oficerów. 3) Msza polowa przed wymarszem na front litewski. 4) Kompania 13 z por. Kaszą przed swym wagonem.

Krytyczna chwila.

Przeżywamy dziś chwile silnego zdenerwowania, ważące położenie nasze na przyszłość a rysujące się pod kątem zapatrywań niektórych polityków zagranicznych w bardzo dla nas problematycznych barwach. I słyszymy najrozmaitsze poglądy i zapatrywania ścierające się w ogniu żywej dyskusyi nie tylko nie mającej żadnych danych racyonalnego wyniku, ale mogących raczej w swych rezultatach przejść drogą bardzo karkołomnej sofistyki.

Za kulisami robionej polityki wre gorączkowa agitacya popierana nierzadko broszurami kreślonemi niemieckim bagnetem, a kolportowanemi pięścią i butą pruską. Trudno urok niemieckiego państwa bożego idzie głęboko w serca i nakazuje sprawiedliwość i łagodność dla zbrodniarzy, którzy chcieli świat budować na stosach trupów i zlepiać gruzy krwią przelaną w myśl pewnych konieczności wojennych i pewnych względów taktycznych i pewnych patryotycznych zapatrywań i wreszcie dla własnej



Krytyczna chwila: Przyjazd delegacyi pokojowej austryackiej do St. Germain-en-Lay.



Zgon powieściopisarza: Adam Krechowiecki.

obrony i zabezpieczenia swojego bytu. Ale tak wiele mówi się obecnie o sprawiedliwości, którą z pod stosu kurzu i gęstej mgły zapomnienia wydobywa koalicya i powoli i pieczołowicie odkrywa z pieluchów, dając ją niejako za karę za barbarzyństwo z pomyślnym wynikiem stosowanym względem dotychczas mniejszych narodów, a obecnie mających zająć stanowisko wypartych Niemiec i Austryi, ale raczej jako upiorne prawo przyszłości.

Właśnie idzie o to wyparcie i zajęcie nowego stanowiska przez nas. Kwestya ta tem jaskrawiej rzuca się w oczy, że w chwilach rozstrzygania jedynie naszych najżywotniejszych interesów spotykamy się z zaciekłą opozycyą ze strony państw z konieczności na przyszłość zmuszonych do wejścia z nami w bliższy kontakt, pociągającey za sobą siłą rzeczy pewną i już w pewnym stopniu zakreślonych granicach rywalizacyę na polu polityki handlowej. Sprawa Gdańska, która połączona była z tak burzliwą i rozstrzeloną debatą, spotkała się z nieprzychylnem przyjęciem ze strony Anglii, która obawiając się przeciwwagi ekonomicznej, przekreśla wszelką racyę żywotności naszej, stając jedynie w ciasnych a przecież zupełnie zrozumiałych ramach swojego interesu.

Obecnie niepokojącą kwestyą dla nas jest Górny Śląsk. Koalicya zamyka oczy na stosunki, jakie tam panują, nie stara się nawet wglądnąć w perfidną,



Krytyczna chwila: Miejsce pobytu delegatów niemieckich w Wersalu.

a nadzwyczaj podstępnie obmyślaną agitacyę niemiecką, nieliczącą się z żadną świętością na drodze dopięcia pewnego celu, koalicya nie stara się nawet pobieżnie przerzucić tę nadzwyczaj bogatą haka tystyczną literaturę dziś zasypującą nasze ziemie, a które lud górnośląski z wielką rezerwą, ale niestety często przyjmuje, nasycając się potokiem kłamstwa i oszczerstwa. Dziś mówi się o plebiscycie w polskim kraju, co do czego koalicya niema już nawet żadnych wątpliwości, czego dowodem poprawka dodatku traktatu pokojowego streszczająca się w tej myśli, że gdyby nawet plebiscyt na Górnym Śląsku wypadł dla naszych wrogów niepomyślnie, Polska będzie musiała połowę produkcyi węglowej odstąpić Niemcom. My się nie obawiamy plebiscytu, bo Górny Śląsk jest lepiej uświadomiony narodowo, aniżeli sądzi Anglia, ale czy podobne



Clemenceau opuszcza pałac Trianon. po wręczeniu Niemcom traktatu pokojowego. Krytyczna chwila:



Przyjazd Paderewskiego do Paryża.





Tłum demonstrantów przeciwko pokojowi wersalskiemu. **Niemcy protestują.** O czternaście punktów Wilsona.

postępowanie względem nas i względem powszechnie znienawidzonych Niemców odpowiada „wysokim“ pojęciom etycznym naszych aliantów? i czy można wogóle pojąć obok siebie zwycięstwo Niemiec i obawę przed oporem pokonanych, mających mimo wszystko nawet władzę i prawo zmuszenia Radę czterech do ustępstw? Inna rzecz, że Rady czterech nie można rozpatrywać jako bloku wobec rozbieżnych opinii jej członków; wiadomo bowiem, że w sprawie pokoju z Niemcami żadnej roli nie odgrywają Włochy, które zużytkowują swój głos jedynie dla wywołania presyi, umożliwiającej pomyślne rozwiązanie dla nich kwestyi konfliktu z Jugosławią. Clemenceau jest zwolennikiem postępowania bezwzględnego i ewentualnej akcyi wojskowej, stając przeciwko skłonnościom do ustępstw reprezentanta Anglii. Wilson kieruje się w każdym wypadku swoją doktryną, która w obecnych warunkach faktycznego stanu rzeczy okazała się nawet niepraktyczną. Ponieważ sprawa pokoju z Niemcami dotyczy i Polski i Francyi, przeto powracając do kwestyi konkretnych i aktualnych na ostatnich posiedzeniach Rady czterech Lloyd George oświadczył się podobno wyraźnie za ustępstwami na rzecz Niemiec i to na niekorzyść Polski, które w najlepszym wypadku mogą przynieść na Górnym Śląsku plebiscyt.

Tak się przedstawiają faktyczne wypadki ostatnich dni, wobec których nie dziw, że Niemcy coraz śmielej podnoszą głowę, czego manifestującym dowodem jest odpowiedź na traktat pokojowy, przedstawiającą



Ze wschodnich kresów: Pogotowie zbrojne kobiet w Stanisławowie.





Kawalerya rumuńska w Kołomyi. **Rumuni w Galicyi:** Rumuński gen. Zadik w otoczeniu reprezentacyi miejskiej.

dokument perfidyi, cynizmu i przewrotności, kryjącej się pod maską rzekomej prośby o pewne ustępstwa, a w rzeczywistości odrzucającej bez apelu wszelkie punkty.

Patrząc na tę odpowiedź nieco krytyczniej musi się konsekwentnie dojść do przekonania, że Niemcom faktycznie nie tyle szło o ustępstwa ze strony Belgii lub Alzacyi, co do której żądanie plebiscytu wysunęli jedynie dla honoru, ale raczej rdzeń rzeczy tkwi w olbrzymich bogactwach Górnego Śląska, tak wydatnie wspierających pruski militaryzm. I tu spoczywa kwestya przyszłego pokoju europejskiego. Bo o ile niemiecki bagnet nie mógłby grodzić drogę wolności i swobodzie, na każdym kroku dając możność zobaczenia niemieckiej pikelhauby, o tyle my nie możemy nigdy stanąć na mocarstwowem stanowisku bez Gdańska i bez Górnego Śląska.

Koalicya ma więc teraz do wyboru albo nas, albo Niemców. Jak ten wybór wypadnie — niewiadomo.

W wielu punktach odpowiedź niemiecka jest zredagowaną istotnie bardzo zręcznie, kryjąc w sobie nie łagodność ujarzmionego zbrodniarza, ale raczej steroryzowanego niewinnego człowieka, który czując się wprawdzie niewinnym, zgadza się chętnie być kozłem ofiarnym, dając wszelkie gwarancye i znaczne ustępstwa, które mogą jedynie przy małym kącie patrzenia pomnożyć szeregi defaitystów, których szczególnie w Anglii nie brak. Nie dała się tylko złudzić niczem Francya, stająca z wysokim duchem obywatelskim w chaosie programów wysuwanych na każdym kroku, a która przeczuwa intuicyjnie, że jedynie nasze placówki, stojące nad dolną Wisłą i górną Odrą, mogą zapewnić trwały pokój i utrzymać wroga w karbach odpowiedniej kultury, pamiętając, że Niemców trzeba zdeptać, jeżeli się nie chce za lat kilka mieć nowej wojny.

Stajemy wobec ciężkich dni oczekiwania w tem przeświadczeniu, że nasze słuszne żądania mogą wypaść tylko na naszą korzyść, jakkolwiek z zachodu dochodzą nas coraz bardziej niepokojące wieści.



Nowy dramat polski: Autor „Kochanków" w gronie wykonawców sztuki

Ze wschodnich kresów.

Po długiej niedoli i męczeńskiej obronie przed bandami hajdamackiemi Lwów odetchnął pełną piersią; inaczej się teraz myśli i czuje. To też cała wdzięczność zwraca się do generała Iwaszkiewicza, któremu miasto zawdzięcza swoje ocalenie w najcięższej chwili długomiesięcznej obrony. W czasie wielkich i z pełnym entuzyazmem podjętych uroczystości na cześć generała dawano często wyraz swojej szczerej i gorącej sympatyi. Najwspanialszym tego dowodem było wręczenie szabli od mieszkańców Lwowa. Szabla ta pochodzi z XVII. wieku, jest odmienną od typu karabeli. Rękojeść jej z ciemnego rogu, z jelcem krzyżowym i kapturkową głowicą. Zamiast pałąka szeroki łańcuszek z plecionki drucianej. Na głowni kazał Komitet wyryć z jednej strony napis: „Gen. Wacławowi Iwaszkiewiczowi — oswobodzony Lwów", z drugiej strony „R. P. 1919".

Z tą uroczystością łączyło się pożegnanie Wielkopolan, którzy tyle trudu położyli dla obrony naszych wschodnich kresów.

O ile Lwów dziś wita wodzów, na całym oswobodzonym obszarze wre gorąca praca, ogniskująca się obecnie około najwydatniejszej i możliwie sprężystej organizacji administracyjnej, poświęcając równocześnie wiele sił dla uformowania kompanii wojskowych, przy czem bardzo żywą rolę odrywają nasze dzielne kobiety.





Gen. Iwaszkiewicz w otoczeniu sztabu i dygnitarzy podczas Mszy św. **Ze wschodnich kresów.** Powitanie generała Iwaszkiewicza kwiatami.

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

6

— Dziękuję panu, panie komisarzu, dobry sen naprawi szybko wszelkie niedomagania. Ma się rozumieć, wiem dobrze, że pan inaczej nie mógł postąpić, byłoby bez sensu, gdybym panu chciał robić z tego powodu jakieś wymówki. Czy dowiedział się pan czegoś nowego o mordercy?

— Owszem — brzmiała spokojna odpowiedź. Trafiliśmy na ślad bardzo ciekawych wypadków, przypuszczam, że pan sam się będzie dziwił.

Paliła mnie niecierpliwość, aby czegoś o Jerzym się dowiedzieć i z naprężeniem oczekiwałem tych relacyi.

— W takich wypadkach — rozpoczął komisarz swe przydługie opowiadanie — bardzo często publiczność sama oddaje nam nieocenione usługi. Bez takiej pomocy, muszę otwarcie przyznać się, mielibyśmy ręce zupełnie związane. Jest to stare spostrzeżenie, które w tym wypadku potwierdziło znowu starą prawdę. Jeszcze tej samej nocy jakiś nieznajomy przyniósł nam ułamaną rękojeść sztyletu, a przy pomocy wskazówek konduktora tramwaju konnego linii Harleston, ścigaliśmy zbrodniarza aż do Manchester. Dalej jeszcze nie posunęliśmy się co prawda, ale przypuszczam, że przyjaciel nasz Caminada pomoże nam tam w poszukiwaniach. Poza tem otrzymaliśmy dzisiaj po południu bardzo ważną wskazówkę. Jak stwierdziliśmy, zamordowana dama była panną do towarzystwa w rodzinie Spiegeleisen i zawarła ona znajomość z pewnym młodym człowiekiem, bardzo dobrego domu.

Komisarz spojrzał badawczo na mnie, jakgdyby oczekiwał z mej strony jakiejś uwagi, milczałem jednak uporczywie. Wobec tego podjął dalej wątek opowiadania, nie spuszczając ze mnie swego bacznego wzroku, jakgdyby badał skutki swych słów.

— Jak wspomniałem, około pierwszej otrzymaliśmy bardzo ciekawą i ważną informacyę. Do biura policyjnego zgłosił się portyer hotelu Metropole i stwierdził, że zapomniał o uwadze, która dla nas może mieć znaczenie i przyczynić się do rzucenia pewnego światła na sprawę nas obchodzącą. Wczoraj mianowicie w hali wchodowej hotelu zjawiło się trzech, czy czterech panów, rozsiedli się, palili papierosy i rozmawiali bardzo głośno. W toku rozmowy zaczęto mówić także i o broni, a jeden z tych panów, który zdaje się wiele podróżował, opisywał różne rodzaje broni, które spotykał w Afryce. W odpowiedzi na to inny gość, niejaki Mr. Gates, wspomniał o dziwnym białym, szklannym sztylecie, który w poprzedni wieczór widział u swego znajomego.

Wobec tej wiadomości udałem się do owego pana Gates, aby zebrać więcej szczegółów. Podczas, gdy w poprzedni wieczór pan Gates, wedle informacyi portyera, był bardzo gadatliwy, okazał się dzisiaj, kiedy w gazetach pojawiła się historya sztyletu, bardzo dziwna, ogromnie wstrzemięźliwym w słowach. Bardzo niechętnie powrócił do rozmowy z dnia poprzedniego i wreszcie przyznał, że widział taki sztylet w pokoju swego przyjaciela. Udało mi się nawet po licznych trudnościach uzyskać nazwisko i adres owego pana. Jak się zdaje — komisarz wpatrzył się we mnie — jak się zdaje, sztylet ten jest własnością niejakiego pana Jerzego Feutona.

Poraz pierwszy imię Jerzego zostało wymówione w łączności z tem morderstwem i w tej chwili zdałem sobie sprawę z tego, że nadchodzi koniec całej afery. Siłą woli opanowałem się jednak, wyraz twarzy przybrałem w maskę obojętności, która nic nie zdradziła.

Po chwili milczenia Mr. Jewell dodał:

— Czy to pan wspominał, panie kapitanie, że właśnie wczorajszy wieczór spędził pan w domu jakiegoś Feutona?

— Owszem, tak.

— W „ogrodzie Very"?

— Tak.

— Ależ to właśnie tensam adres, jaki udało mi się wydobyć od pana Gates. Dziwny zbieg okoliczności, prawda panie kapitanie?

— Zbieg okoliczności w każdym razie — odpowiedziałem.

— W takim razie widział pan i szklanny sztylet, który zwrócił uwagę pana Gates. Podobno wisi on na ścianie w pokoju Jerzego?

— Tak, przypominam sobie, że widziałem taką broń w jego pokoju — odpowiedziałem — ale nie rozumię, jaki związek może mieć właśnie ten sztylet z tem morderstwem. W tej chwili Londyn z pewnością posiada wiele takich instrumentów. Pochodzą one z czasów starej republiki weneckiej i wyrabiane są teraz masowo w skutek wielkiego pokupu przez handlarzy starożytności.

— Zapewne, zapewne — przyświadczył komisarz — przypadkowo jednak zależy mi bardzo na tem, aby zobaczyć właśnie ten sztylet. Mam wrażenie, że pan w tej chwili wraca od państwa Feutonów, czy nie mógłby mi pan powiedzieć, czy pan Jerzy Feuton jest w tej chwili w domu?

— Nie widziałem się z nim, gdy byłem z wizytą, nie było go jeszcze w domu, mógł jednak tymczasem nadejść.

— Prawdopodobnie — odpowiedział sucho komisarz. — Przypuszczam, że udzieli mi on ważnych informacyi. Ale prawda, właśnie przypominam sobie, że nie wymieniłem panu dotychczas nazwiska owego mężczyzny, który utrzymywał z zamordowaną kobietą bliższe stosunki. Znowu bardzo dziwny zbieg okoliczności. Panie kapitanie, to właśnie tensam Mr. Jerzy Feuton.

Komisarz nagle spostrzegł jakiś pyłek na rękawie swego munduru i pilnie go strzepywał, czułem jednak, że z pod oka obserwuje bardzo uważnie wyraz mej twarzy. Mimo wszystko nie mogłem tak zapanować nad sobą, aby powstrzymać gwałtowny rumieniec, jaki wszystką krew do twarzy mi sprowadził. Widziałem jasno, jak oczka strasznej sieci coraz ciaśniej się zaciągają i otaczają biednego młodzieńca. Nieubłagany głos zabrzmiał znowu w urzędowo-zimnym tonie:

— Ten ostatni fakt jest już panu, kapitanie Brett, prawdopodobnie znany?

— Owszem, coś o nim słyszałem.

— Prawdopodobnie było to bardzo przykre dla jego rodziny?

— Przypuszczam, że tak.

— Takie rzeczy wywołują zawsze rozdźwięk w rodzinie. Młodzi panowie nie pozwalają w takim wypadku stawiać sobie zarzutów, tracą głowę i zagalopywują się, jak pan sądzi, kapitanie?

Mr. Jewell widocznie próbował ze mnie coś wydobyć. Odpowiedziałem mu krótko:

— W tym wypadku myli się pan, panie komisarzu. Pan Jerzy Feuton, mój przyjaciel, jest nawskróś prawym, uczciwym człowiekiem, któremu bezwarunkowo nie można zarzucić, aby prowadził życie rozwiązłe. Spieszy mi się jednak, panie komisarzu i muszę pana pożegnać.

— Więc do widzenia, panie kapitanie. Złożę teraz przyjacielowi pana wizytę, mam nadzieję, że go zastanę. Wierzę, że on będzie tym, który nam sprawę wyjaśni.

Kiedy wreszcie rozeszliśmy się z tym człowiekiem o lisiem wejrzeniu, wiedziałem już, że przeznaczenie dokonało się nad Jerzym Feutonem. Obecnie było już zupełnie jasnem, że wobec wszystkich tych okoliczności, które w tak dziwny sposób wzajemnie się uzupełniały, zostanie natychmiast wydany nakaz aresztowania Jerzego, tem bardziej skoro zostanie wykryte, że w domu go niema. Zbyt szybko dowiedzą się jego biedni rodzice, że ich syn podejrzany jest o owo straszne morderstwo i jasno uświadomiłem sobie ich rozpacz wobec tej strasznej wiadomości.

Droga, jaką mi pójść należało, stanęła jasno przedemną. Podczas, gdy sługi sprawiedliwości gromadzić będą dowód za dowodem jego winy, moim obowiązkiem było uczynić wszystko, aby znaleść dowody jego niewinności. Tak, jak Mabel mimo wszystko niewzruszenie wierzyła w jego uczciwość, taksamo i ja nie mogłem się wahać, należało wszystko zrobić, aby dojść do właściwego celu.

ROZDZIAŁ VI.

Niespodziewane odkrycie.

Z ciężkiem sercem pożegnałem się z komisarzem Jewellem. Zbyt dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, co się w tej chwili dzieje w „Ogrodzie Very". Chętnie byłbym tam razem z nim pospieszył i już nawet zawróciłem, aby to uczynić, ale uświadomiłem sobie, że nie mam mocy, aby powstrzymać tę burzę, jaka teraz nadciąga, choćby nawet na godzinę.

Od Mabel dowiedziałem się potem, kiedy pierwsze chwile rozgoryczenia i bolu przeminęły, co się tam stało Jerzego ma się rozumieć w domu nie było a także nie można było dać żadnych wyjaśnień co do tego, gdzie on się obraca. Natomiast stwierdzono, że do niedawna w jego pokoju znajdował się szklanny sztylet. Fotografia, jaką na żądanie komisarza mu pokazano, zgadzała się z rysopisem tego mężczyzny, którego opisał konduktor tramwajowy i świadkowie, którzy go ścigali. Stwierdzono nadto, że Jerzy opuścił wczoraj dom w ubraniu wieczorowem i że pozostawał w przyjacielskim stosunku do zamordowanej.

Uznano dowody te za wystarczające i jeszcze tegosamego dnia wieczorem wydano rozkaz aresztowania Jerzego Feutona, jako mordercy Harriety Staples.

Nadeszły straszne dni dla biednej jego rodziny; chwile troski i największej zgryzoty, pod wpływem której zwłaszcza rodzice najwięcej się ugięli. Mr. Feuton nie wątpił już nawet w to, że syn jego jest winnym, wiedział przecież o węzłach, jakie łączyły go z zamordowaną. Bezwolnie wprost poddawał się rozpaczy, był zupełnie złamany. Inaczej zachowywała się matka. I ona była bardzo przygnębiona. Nagły cios przykuł ją nawet do łoża boleści. Nie wspominała jednak nigdy o morderstwie. Cała myśl jej żyła tylko jej drogim synem. Mówiła o nim z wielką i wzruszającą troskliwością. każdego, kto ją odwiedzał, wypytywała o wiadomości o nim. Jedyna Mabel opanowała się zupełnie. Wprawdzie przybladłe wargi i smutne oczy aż nazbyt jasno tłomaczyły wewnętrzne jej uczucia, ale na zewnętrz nic nie zdradzało stanu jej duszy. Spokojnie i z rozwagą, jak zawsze, spełniała swe obowiązki.

Wreszcie przyszła wiadomość o aresztowaniu Jerzego i dziwna rzecz, wszyscy odetchnęli jakby z ulgą. Zdawało się, że to lepsze, niż ta ciągła niepewność, która jakby jakaś straszna zmora cisnęła wszystkich.

Kiedy Mabel dowiedziała się, że brat jej jest chory, postanowiła natychmiast pojechać do niego, aby go pielęgnować. W towarzystwie służącej udała się do Yorkshire. Byłbym chętnie i ja z nią pojechał, ale nie chciała nawet o tem słyszeć, prosiła mnie jedynie o zaopiekowanie się przez ten czas jej rodzicami i o przygotowanie obrony.

Po ośmiu dniach Jerzy czuł się o tyle zdrowszy, że mógł odbyć podróż. Przewieziono go więc do Londynu. Skoro tylko wedle wszelkich przepisów sądowych wygotowano przeciw niemu akt oskarżenia, postawiono go przed sądem i śledztwo się rozpoczęło.

Zeznanie, jakie wprawdzie z wielką niechęcią, ale z obowiązku musiałem złożyć, zwróciło się poważnie przeciw niemu i chociaż biedny chłopak wytrwale zapewniał o swej niewinności, nadzieja uratowania go stawała się coraz słabszą. Takie przekonanie miał i jego obrońca i adwokat. Jego nieprawdopodobnym zeznaniom o przebiegu wydarzenia przeciwstawiały się tak liczne przeciwne dowody, że nie trudno było przewidzieć wyrok sądu. Okazało się między innymi, że oskarżony bardzo często oczekiwał na Harriet Staples i że widziano ja nieraz w jego towarzystwie; stwierdzono także, że właśnie owego wieczora oboje odbyli wspólny spacer, a wracając ulicą Andley zamieniali ze sobą głośno wymówione słowa. Straszny czyn został dokonany z premedytacyą, cóż innego bowiem oznaczał ów sztylet? Wobec tego rzecz tłomaczyła się bardzo jasno, a życie młodego Feutona wisiało już na włosku. Jedynie tylko mogło go uratować jakieś niespodziewane odkrycie.

Poprosiłem o pozwolenie zobaczenia się z oskarżonym i otrzymałem je.

Jakżeż bardzo zmienił się biedak w tych kilku tygodniach! Ten nieszczęśliwy, złamany człowiek, z wybladłymi zapadłymi policzkami, głęboko podkrążonymi oczami nie przypominał w niczem wesołego i żywego mego przyjaciela. Kiedy zobaczył, kto go odwiedza, dawny jasny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— Ach, to ty, Brett! Wiedziałem, że przyjdziesz. Boże, czy to nie straszne?

Z łkaniem ukrył twarz w dłoniach. Zobaczyłem jakie one były wychudłe.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wojsko polskie w Ameryce:

Wojsko polskie w Ameryce.

Rzucone w politykę światową hasła wolności Polski, jako rekompensata za krzywdę przez 125 lat przeszło wyrządzaną na żywem ciele narodu, którego żaden ucisk ani żadna niewola uprzyjemniana bądź brutalną polityką pięści rosyjskiej, bądź perfidną i do najdalszych subtelności łotrowską metodą prusko-austryacką obudziła na wszystkich ziemiach, gdzie Polska choćby jedną piersią oddychała, żywą i gorącą pracę. Płynęła ona w najrozmaitszych kierunkach, w granicach wszelkiej dostępnej możliwości, ale zawsze w jednym i tymsamym kierunku, mimo częstych odchyleń i zboczeń wprowadzanych przez ludzi o wytartem czole, a których nigdy i nawet w programach o najbardziej ideowo wytyczonych celach nie brak.

Stanęła do wspólnego trudu i Ameryka, obficie użyźniona polską pracą i polskim potem, ale tam myślano zawsze zupełnie inaczej, niż u nas. Wychowani w szkole rozumnej i racyonalnej gospodarki amerykańskiej tworzyli w sobie duszę trzeźwą i opierającą się skutecznie chwilowym i przemijającym nastrojom. Hasło, które u nas tak często się powtarza, zatraciło wreszcie swoje święte znaczenie i wszystko dla Ojczyzny przebrało realną wartość ustaloną nie na słowach ale czynach. Przypominamy sobie pomoc finansową i aprowizacyjną, która z każdym dniem wzrasta, wiemy, że Ameryka była ruchliwym ośrodkiem tworzenia wojska polskiego, w ten sposób przyłączając się do wykonania tego podstawowego zadania powstającej Ojczyzny, którym jest stworzenie silnej armii. Ameryka staje



Z nastrojów Lwowa: Przed kuchnią ludową.



Nowy dramat polski: Wacław Grubiński.



Przed obozem.



Wojsko polskie w Ameryce: Szkoła oficerska armii polskiej w Niagara on-The-Lake Ontario.



Obóz polski w Niagara on-The Lake.

się także kolonią polską wprawdzie od nas morzem oddzielona, ale równie gorąco kochającą Ojczyznę, jak my, którzy ją tworzymy.

Kolonia polska rekrutująca się z naszej niwy, a kierowana dalekim i pełnym łez szlakiem z swojej ziemi, często popychana przez nienczciwych agitatorów, rzuciła w puszcze amerykańskie wiele potu, ale na tym posiewie wzrósł twardy czyn, który ich tam daleko połączył i zbratał żelaznym łańcuchem tęsknoty i snu o dawnej, kiedyś widzianej, a przecie już tak dalekiej Ojczyźnie.

Z nastrojów Lwowa.

Odzyskanie Galicyi wschodniej z barbarzyńskich rąk Ukraińców przedkłada Polsce bardzo ważne zadanie. Galicya wzmocniona teraz narodowo w ciężkich zmogach z hajdamackiemi bandami, żąda od nas troski o siebie i jak najwydatniejszej pomocy. Idzie tu o aprowizacyę, którą musi się ująć w energiczne i uczciwe ręce. Już po pierwszem odparciu Ukraińców zbiegłe myśli zwróciły się w tym kierunku. Wiemy, że najenergiczniej szedł z pomocą Poznań, który mimo wyniszczenia okazał się najbardziej żywotną i pracowitą prowincyą Polski. Pociąg po pociągu odjeżdża w stronę Lwowa, łącząc się w Krakowie z ekspedycyami z Królestwa i Galicyi, jako dowód poczucia swego zadania wobec bohatersko broniących się kresów i wdzięczności za uratowanie ważnej placówki polskiej.



Powrotne pytanie: Nasi górale w Paryżu.

Wojsko polskie na Litwie.

Stara Gedyminowska siedziba serdecznie i z radością przyjęła wkraczające wojska polskie. Zamek lidzki, który już w roku 1392 i 94 gościł w swoich murach krzyżackich mnichów, teraz przeszedłszy przez szał zniszczenia, jaki przepłynął przez Litwę, niesiony dobrotliwą ręką niemieckiego niewolnika i braterską opiekę bolszewickich sowietów, powitała nas resztkami ruin. Tak, bo ruiny tylko zostały i ból i głód i rozpacz. Wojska polskie, wkraczające w granice Litwy niosą wolność i życie. Na czele ich stoi stary wódz generał Szeptycki. Znamy jego patryotyczne stanowisko i jego pełne poświęcenia wysiłki, zaznaczające się nietylko słowami, jak to u nas często, ale faktami. Obecnie generał Szeptycki prowadzi armię polską, stawiając przed nią wielki ideał polskiego żołnierza, który streszcza się w słowie: wolność. To też powszechnie lubiany przez wojsko i oficerów jest przedmiotem długich rozmów wśród wolnej chwili i szczerego zapału, za to, że dał im zwycięstwo.



Wojsko polskie na Litwie: Korpus oficerski I. suwalskiego pułku strzelców (X) Szef sztabu kap. Wolf, (XX) I. adjutant grupy zaniemeńskiej rotm. Zabielski.

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłom. Marya Jadwiga Migowa).

18

— Uf! — odetchnęła Marion, odprowadzając swych gości do drzwi.

Czuła się jednak stanowczo lepiej i pewniej. Najtrudniejsze było zrobione. Zawiadomienie Hotteletów, de Torve'a, Heleny Ponant, miss Lidney, Lanique'a nawet Palaiseau, pójdzie już jak z płatka.

Potem wzmianka w dziennikach pod tytułem: „Nie trzeba nigdy tracić nadziei", która pocieszy dużo żon i matek, opłakujacych zaginionych mężów i synów.

Skoro odpadły akcesorya, sytuacya zarysowała się dla Marion w wyraźnych konturach.

— Mój mąż jest mi zupełnie obojętny. Szaleję z miłości dla kochanka, a kobieta jest za razem i moją przyjaciółką i jego żoną, może lada chwila dowiedzieć się wszystkiego. Taki jest scenaryusz naszej tragedyi. Dzień, w którym mąż mój powróci, to jedna jeszcze komplikacya więcej i koniec.

Postanowiła sobie wypowiedzieć tę formułę z gramatyki zdrady małżeńskiej Klaudyuszowi przy najbliższem spotkaniu, kiedy się jednak spotkali w mieszkaniu przy ulicy des Ombres ani jedno ani drugie nie miało ochoty do żartów.

Klaudyusz wiedział już od Grantouvra o nerwowym ataku Marion. W nim samym odezwał się głos egoizmu męskiego. Zdjął go lęk przed przykrościami i nowemi komplikacyami. Ochłodziło to nieco, przynajmniej chwilowo, jego uczucia

Na usta wybiegło mu to zdanie, które dobrze znają kobiety, a które zawsze czyni tego, kto je wypowiada, trochę śmiesznym w ich oczach.

— Musimy być więcej ostrożni niż kiedykolwiek...

Marion niemile dotknięta odrzuciła energicznie:

— Najostrożniej będzie, przestać się widywać wogóle...

— Ach! ty zawsze wszystko bierzesz tak skrajnie! Odrazu ostateczność! Ach, ty kobieto, po trzykroć kobieto!...

Chciał ją pocałować, ale uchyliła zręcznie twarz.

— Tyś się już zmienił. Nie jesteś ten sam. Nie zaprzeczaj. Mówię prawdę. Czytam w twojej myśli, widzę, czuję. jak powtarzasz sobie ciągle: „Co za historya! Ksawery wrócił Jak się z tego wywikłać?" Otóż ja cię przestraszę jeszcze bardziej! Nie można się wcale wywikłać! Ty jesteś mój, należysz do mnie, a rozatem kpię sobie ze wszystkiego! Będę broniła moich praw do miłości, jak lwica!

Ta szczerość rozrzewniła go, a słowo „przestraszę" ubodło jego ambicyę. Oświadczył więc, wpadając w tensam ton, w jakim mówiła Marion, że nie robi sobie nic z Ginetty ani z całego świata, dopóki posiada miłość swej uroczej Marion.

— Widzisz! Tak to mi się podobasz!... Jakiś ty piękny w tej chwili... Kocham cię!... I cóż może nam się przydażyć najgorszego? Smierć! Ależ ona podcina tyle istnień młodych, niewinnych, które mają pełne prawo do życia!... Żaden z tych żołnierzy tam na polu walki nie może się przed nią uchylać... Umrzeć przez ciebie i dla ciebie, dla mego Klaudyusza! Cóż za szczęście!

— Nie sądź — odparł Klaudyusz ze smutnym uśmiechem — że ja się lękam nienawiści lub przemocy!... Nie! Ja się tylko obawiam krzyków, szykan, próżnych gróźb, dramatycznych scen — jednem słowem wszystkiego, co ja określam nazwą „nos Ginetty"... To jest najgorsze, barbarzyńskie, to mnie doprowadza do rozpaczy!...

Marion wyciągnęła się na sofie w pozie śmiałej, lubieżnej, przypominającej sceny z obrazów Goyi... Klaudyusz spojrzał na nią płonącymi oczyma.

Nagle wśród ciszy nocnej ozwał się silny głos kobiecy, wołając:

— Marion!...

Zadrżeli oboje i spojrzeli po sobie, przekonani, że to jakaś halucynacya słuchowa.

Ale głos kobiecy zawołał po raz drugi jeszcze wyraźniej:

— Marion!...

Ton był nakazujący, uroczysty.

— Co to znaczy? — zawołał Klaudyusz, zrywając się.

Marion drżała cała, a oczy jej błędne pełne były przerażenia.

— To nie może być nikt inny, jak tylko...

Nie miała odwagi wymówić imienia. Klaudyusz ją wyręczył:

— Ginetta!... Ależ dlaczego ona miałaby coś podobnego zrobić? To byłoby idyotyczne!... A zresztą skądże...

— Cicho bądź, nie mów nic.

Wytężył słuch, przytulęni do siebie, jak złodzieje przychwytani na gorącym uczynku.. Ale niezrozumiałe, tajemnicze wołanie już się nie powtórzyło. Zapanowała znowu cisza i nic jej już nie zakłóciło.

Zawstydzeni własną lękliwością, zdecydowali się nagle stawić otwarcie czoło, czającemu się niebezpieczeństwu. Razem wyszli z mieszkania. Ulica była pusta, jak wymiótł. Nikogo, absolutnie nikogo nie było widać.

— — — — — — — — — — — — — —

Ginetta była zadowolona z okrutnej farsy, którą tak kunsztownie odegrała. To miał być zresztą tylko debiut, początek zemsty.

Od czasu, gdy Marion otrzymała wiadomość od męża, nowy plan zaświtał w głowie doktorowej. Nie wahając się długo, zabrała się do wykonania

Zaadresowała kartkę do „kapitana artyleryi Ksawerego Darmelle, barak 15, obóz jeńców w Schultzen, Westfalia, Niemcy".

Potem zmienionym pismem skreśliła następujące słowa:

„Pański przyjaciel dr. Klaudyusz Etiennant zajmuje się bardzo żywo pańską żoną. Widują się oni codzień potajemnie między godziną 5 tą a 7 mą na ulicy des Ombres Nro.4, życzliwa przyjaciółka".

Odczytała raz, drugi i trzeci to jadowite posłanie. Wyobrażała sobie druzgocące wrażenie, jakie ono wywrze na biednym jeńcu, o którym wiedziała, że jest szalenie zazdrosny...

Będzie się miotał w bezsilnym gniewie i napewno wytęży wszystkie siły, aby powrócić do Francyi i ukarać niewierną żonę i zdradzieckiego przyjaciela.

Własnoręcznie wrzuciła Ginetta swój anonim do skrzynki pocztowej i powróciła do domu, bardzo ze siebie zadowolona.

Zatruta strzała wysłana! niechybnie wywrze pożądany skutek, a wtedy, wtedy wybije godzina zemsty!..

ROZDZIAŁ VI.

W niewoli niemieckiej.

Kapitan Ksawery Darmelle ranny, ugodzony kulą w okolicy kręgosłupa, dostał się do niewoli wraz ze wszystkimi żołnierzami swej baterji. Naprzód umieszczono go w jednym ze szpitalów na terytoryum okupowanem przez nieprzyjaciela.

Tam przykuła go ciężka choroba do łóżka na siedem miesięcy.

Rodzinie nie mógł dać żadnej wiadomości o sobie, albowiem zabroniono mu pisać jakiekolwiek listy do Francyi.

Biedny ranny zżerał się formalnie troską i tęsknotą, myśląc wśród najgorszych cierpień ustawicznie o swoich, a szczególnie o swej ukochanej, pięknej Marion. Ileż to razy całował z namiętną tęsknotą jej miniaturowy portrecik, który miał w medalionie.

Okrutne wypadki wojenne, niebezpieczeństwo, walka, oddalenie i niepewność, zamiast przytłumiać, podsycały jeszcze bardziej jego pragnienie miłosne.

Żona panowała wszechwładnie w jego sercu i umyśle, identyfikował ją niejako z Francyą, dla której z radością, ochotnie krew swoją przelewał.

Skoro kapitana Darmelle uznano już za rekonwalescenta, wyprawiono go wraz z wielu innymi towarzyszami do obozu jeńców w Schultzen w Westfalii.

Wtedy to pozwolono mu napisać kartkę do domu. Natychmiast skorzystał z tego zezwolenia i teraz z gorączkową niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi.

Pomimo surowej zimy, życie jeńców w obozie było znośne. Żywiono ich wprawdzie bardzo licho, przeważnie zeosuszonemi jarzynami, ale nie cierpieli z powodu zimna, bo baraki były dostatecznie ogrzewane i traktowano ich względnie uprzejmie.

Komendant obozu, niejaki kapitan von Pflugtz spędził dużo lat w Paryżu, prowadził tam swego czasu duże interesy i miał nadzieję, że po wojnie znowu znajdzie się we Francyi. To też, licząc się z tem, okazywał jeńcom ową pełna politowania uprzejmość, grzeczność zadowolonego ze siebie, pysznego zwycięstwem „boche'a", która chwilami bardziej bolała niż brutalność.

Wyrażał zawsze zapatrywanie, że Francuzi padli ofiarą polityki angielskiej, że są jako baranki niewinne, prowadzone na rzeź przez perfidnych sojuszników

Często zjawiał się w baraku, gdzie przebywał Darmelle i zaczynał z kapitanem rozmowę o paryskich czasach i o swym ulubionym bulwarze „de Sain Szermain". Darmelle stęskniony z przyjemnością słyszał nawet z ust Niemca, nazwy ulic, po których chodził niegdyś w pachnące wieczory letnie ze swą piękną, jasnowłosą Marion przy boku.

— Gdzie ona teraz?... Co się z nią dzieje?... Czy ona myśli o mnie w tej chwili?... Kiedyż ja ją znowu zobaczę?! Ach! Uwolnić się z tąd!..

Powoli w umyśle kapitana dojrzewał pewien plan.

Znał on dobrze sympomaty tej strasznej choroby, która prowadzi do paraliżu i do śmierci poprzez bóle dotkliwe, zaburzenia wzroku, strach przestrzeni i tym podobne objawy.

— Jeżeli zdołam przekonać naczelnego lekarza — kombinował Darmelle że grozi mi choroba mlecza pacierzowego, to może odeślą mnie do Francyi w drodze wymiany jako niezdolnego do broni inwalidę!...

Ten lekarz naczelny w obozie w Schultzen nosił nawisko Murmelthier i można było o nim śmiało powiedzieć, że istotnie w tym wypadku „nomen-omen", tak bardzo przypominał powierzchownością swoją to zwierzę.

Z początku Murmelthier nie zwracał żadnej uwagi na skargi i jęki kapitana Darmelle, skoro ten jednak przez piętnaście dni nieustannie żalił się na mocne bóle w dolnej części kręgosłupa, zajął się nim. Naprzód zapisał mu jakieś pigułki, które oczywiście nie tylko nie przyniosły polepszenia, ale wręcz przeciwny wywołały skutek. Darmelle jęczał i utrzymywał, że chodzić nie może...

Po kilkunastu dniach lekarz zapytał w końcu kapitana czy przypadkiem nie doznaje jakichś zaburzeń wzroku, a mianowicie czy przedmioty nie dwoją mu się w oczach...

- Mam cię, ptaszku - pomyślał kapitan — jestem na dobrej drodze..

Głos zaś rzekł:

Istotnie, czasem mi się wydaje, że tu obok stoją dwa stoliki, a wiem, że jest tylko przecie jeden...

Hm... hm... — mruknął Murmelthier i na razie nic już więcej nie powiedział.

Od tego dnia wszakże jął z baczną uwagą obserwować Darmelle'a, poddawać go coraz to innym próbom, z których kapitan wychodził zwycięsko, coraz silniej gruntując w umyśle lekarza przekonanie, że tutaj grozi nieuleczalna choroba...

Pomimo całej powagi położenia kapitanowi nieraz chciało się śmiać, kiedy widział jak Murmelthier w głębokim namyśle kiwa nad nim głową...

— Nigdybym nie przypuścił, że mogę być tak dobrym symilantem. — mówił sobie w myśli Darmelle.

Nareszcie po kilku tygodniach wyczekiwania przyszły pierwsze wieści z ojczyzny.

Darmellowi oddano dwa listy i jedną kartkę korespondencyjną. Nie mógł powstrzymać się aby nie kryknąć z radości. Poznał pismo Marion i pismo swej matki.

(Ciąg dalszy nastąpi)


Ks. arcybiskup Bilczewski podczas kazania w dzień odjazdu Wielkopolan.


Ze wschodnich kresów: Generał Konarzewski.


Przegląd wojsk wielkopolskich. (Fot. M. Münz)

Zgon powieściopisarza.

Wojna wydarła nam wiele filarów z naszej literatury, podrywając często nawet ludzi ogniskujących w sobie pewien kierunek i pewną gałąź literatury, jak na przykład Sienkiewicz. Dziś dowiadujemy się o śmierci wprawdzie człowieka nie tak górnego lotu, ale równie czynnego i jednego z mocnych podstaw wprawdzie już przeżywającej się generacyi. Krechowiecki, reprezentujący odłam konserwatywny i w tym duchu kierujący swoją pracę, szedł śmiało przed siebie i w pełnej wierze wartości swojego trudu. Była to natura artystyczna, człowiek o wysokiej kulturze. Sferę, którą z obserwacyi i współ życia zna dobrze i gruntownie, ot tych „Naszych najmłodszych“ artystów i arystokratów, w „Jestem“ malarzy i innych, wiernie i z wielką subtelnością często malował, jakkolwiek nie umiejąc niczego dodać do szablonu powieści ówczesnej, rażąc zbyt często jaskrawością efektów mających ratować sytuacyę. Ostatnio ta cecha doprowadziła go nawet na scenę, gdzie dramat „My“ związany z motywów rewolucyjnych, budził niestety jedynie odruch... ramion. W romansie historycznym od wieku XVII. zaczął „Starostą Zygwulskim“ i po wycieczkach w średniowiecze z „Szarym Wilkiem“ na tle strasznych obrazów i przez „Fiat lux“ rzeczą okolicznościową o Jadwidze i Jagielle, z powodu jubileuszu ich uniwersytetu wrócił do XVII. wieku. Zamiast trylogii dał tetralogię, jakkolwiek materyał podówczas historyczny niekoniecznie głęboko pojął; sprawy pruskie i wyznaniowe Kalkstein i Łuszczyński, czasy Michała i Sobieskiego całkiem go pochłonęły; poznał ich gruntownie. Lecz w całości przeważa najczęściej historya przetkana na delikatnej kanwie romantyzmu, zdobywając się często nawet na żywy koloryt (Veto, Szary Wilk).

Działalność literacka Krechowieckiego zarysowuje się w ramach poważnych, jakkolwiek w niektórych wypadkach zaefektowanych karkołomnością grożącą tendencyą. Krechowiecki pozostanie zawsze pełnym dobrej woli i nie obojętnym dla czytelników epigonem historycznej powieści z czasów Kaczkowskiego i Kraszewskiego.

Niemcy protestują.

Niemcy, to naprawdę naród ciekawy; po tylu klęskach i takiem wycieńczeniu, czują w sobie teraz dużo siły żywotnej, ale — do protestu. Traktat pokojowy, przedłożony im przez koalicyę mocno ich niezadawala, czemu wcale się nie dziwimy, bo ich dobrze znamy, no i każdy był z góry przygotowany, że targować się będą energicznie. Obecnie po całym kraju powtarzają się burzliwe manifestacye mające na celu steroryzowanie koalicyi, która musi przedłożyć warunki pokojowe wedle ducha i programu interesów pruskich. Koalicya zaś ma dobre zamiary i bierze sobie te pogróżki dumnego krzyżaka mocno do serca. Oby tylko nie zbyt mocno, bo każdy efekt wykraczający poza przeciętne granice przyzwoitości zazwyczaj szkodzi.

Powrotne pytanie.

Wobec olbrzymiej klęski Czechów na Węgrzech, zmuszającej ich do opuszczenia całej Słowaczyzny, a temsamem dopuszczającej wojska węgierskie na bliski już kontakt z Polską, spowodowało ważną troskę, którą niestety tak jak dotychczas traktuje się dość optymistycznie. Naturalnie, że idzie tu o Spisz i Orawę.

Egoistyczne postępowanie Czechów dało się podobnie jak nam na Śląsku Cieszyńskim, aż nadto odczuć i na Słowaczyźnie. Dlatego słusznie dziś osądza się postępowanie ludności wobec napierających wojsk komunistycznych jako przyjazne i przychylne. Nie jest to jakaś tam sympatya dla bolszewickich idei, sympatya siłą rzeczy kierująca się przeciw koalicyi a w najbliższym wypadku i przeciwko nam, wobec naszego sąsiedztwa, a przeciwnie obecny zwrot na Słowaczyźnie będący jedynie odruchem narodowym, jest jakby karą wymierzoną na Czechach za ich wręcz samobójczą politykę ekspanzywną. Nie należy jednak patrzeć na to pod kątem widzenia zbytniej nadziei, że wojska węgierskie nie wkroczą do Polski, bo wprawdzie mówiło się dotychczas o jakiemś niby braterstwie, ale wiemy dobrze, że w dzisiejszej chwili gorączkowych interesów narodowych sprawa ta może mieć znaczenie jedynie teoretyczne, a najczęściej takie miała. W każdym razie równoległość polityki nie będzie wymagała całkowitego jej przekreślenia i dlatego nie można ganić Warszawę, że patrzy na wszystko trochę bezkrytycznie.

W każdym razie musi się Spisz i Orawę w jak najszybszym czasie obsadzić, zwłaszcza, że chwila ku temu sposobna, co przecie nie może wywołać żadnego konfliktu z Węgrami, owszem bardzo trzeźwą jest obawa, aby Paderewski nie związał się jakiemiś zobowiązaniami wobec Czechów.

Oto uwagi, które się przy dzisiejszym stanie rzeczy siłą faktu nasuwają. Tymczasem dowody przywiązania i trzeźwego myślenia naszych górali mnożą się coraz liczniej. Pamiętamy niedawny pobyt górali w Paryżu, ich rozsądne zachowanie się wobec Wilsona, a świeżo odzywają się prośby o pomoc w Cieszynie nawet, gdzie delegat Orawy z płaczem prosił generała Hallera, aby pamiętał o nich, którzy tyle męki przeżyli pod rządami Czechów.



Niemcy protestują: Demonstranci przeciągający przez berliński ogród zoologiczny.


Wojsko polskie na Litwie Sztab grupy zaniemeńskiej pod Lidą

Kronika tygodniowa.

A minori ad majus vallet consequentia. Tak powiedział swojego czasu filozof, zapewne rzymski, skoro mówił po łacinie, a w jego ślady wstępuje dziś i kronikarz i mając kilka ważnych spraw na porządku dziennym, zaczyna od najmniej ważnej, to jest od pogody.

W dniu 8 czerwca obchodziliśmy imieniny św. Medarda, który jest u nas uważany za patrona od deszczu. Jeśli w tym dniu z niebiosów kapie, można być pewnym, że przez dni czterdzieści będą stać otworem upusty niebieskie, kto więc nie ma parasola, musi się na gwałt zaopatrzyć w ten instrument, dziś dostępny tylko dla paskarzy i innych milionerów wojennych. Za najgorszego gatunku egzemplarz, z którym nawet na deszcz wychodzić nie można, gdyż się rozlezie, trzeba zapłacić co najmniej sto koron.

Dzięki Bogu, obeszło się w tym roku bez potrzeby kupowania parasola w dniu świętego Medarda, a to z tego powodu, że już przedtem padał deszcz prawie przez dni akurat czterdzieści, więc każdy szanujący siebie i swój kapelusz obywatel miał już parasol, poza tem w dniu 8 czerwca przez cały dzień mieliśmy pogodę, wobec czego udał się nawet i festyn na jakiś cel dobroczynny i wycieczka tradycyjna na Bielany, tego roku wyjątkowo i dla rozmaitości piechotą, gdyż o dorożce ani mowy, a i miejsca na chłopskiej furze trzeba było także słono opłacić. Choć gazety doniosły, że z powodu chorób zakaźnych (czyżby się zbliżały wybory?...) władze zakazały tłumnych wycieczek na Bielany i ostrzegały pobożnych i zakochanych, mimo to pociągnęły tam tysiące Krakowian, chcących użyć w całej pełni świeżego powietrza dopóki nie stanie się ono kartkowem, nad czem zastanawia się podobno bardzo poważnie Rada przyboczna pana Delegata jeneralnego, na wniosek delegata ministerstwa temperatury na Małopolskę. A jest nim taki pan, który, jak to zwykle u nas bywa, nie ma z temperaturą nic wspólnego, a zna się na niej niczem kura na pieprzu (ale nie na tym, który niedawno skonfiskowano jakiemuś panu Bielowi...).

Szli więc na Bielany ci, którym nogi nie bolały, jechali lądem lub wodą milionerzy, najbardziej zaś rozanieleni byli ci, którzy się wybrali łodziami motorowemi, gdyż wlaszowali sobie, mówiąc z niemiecka, aby już w roku następnym można się było w ten sposób dostać... do „polskiego“ Gdańska.

Na ogół zabawa na Bielanach była bardzo słaba, ale też niema się i czemu dziwić gdyż Kraków, dzięki wojnie, poszedł ogromnie naprzód z postępem i już mu nie wystarczają Bielany. Dawnych wesołych towarzystw z beczułką piwa i harmonią ani śladu, zamiast szelestu liści, szelest jedwabi, którymi dziś eo druga córa Ewy okrywa swe grzeszne ciało.

Piechurzy wracali przeważnie przez Panieńskie Skały, będące jak wiadomo, własnością Krakowa i radowali się widokiem prawdziwego lasu, który „do nich“ należy.

Zdawać jednak wypada, że gmina miasta Krakowa nie postarała się o to, aby w oba dni Zielonych Świąt uprzyjemnić pobyt na świeżem powietrzu tym, którzy są go spragnieni. Należało więc w pierwszej linii postarać się o to, aby w lesie śpiewało więcej ptaków i nieco ładniej, niż to było w tym roku. W braku prawdziwych ptaków można było wydelegować w tym celu funkcyonaryuszy gminy, mających nazwiska: Słowik, G'l Kukułka, Skowronek Kanarek, Gawron, Makolągwa, Zięba itd., pourmieszczać ich na drzewach lub w krzakach i kazać śpiewać „na swojską nutę“.

Również byłoby wskazanem urządzenie jakiejś gospody, bodajby tylko filii wojennej kuchni obywatelskiej, aby znużony podróżnik miał gdzie posilić swe słabe ciało, mające stanowić bezpieczny futerał dla silnego ducha.

Niestety, posiłek ów pozostawiał bardzo wiele do życzenia. Zwłaszcza spragnieni narzekają, że nie było nawet na Woli Justowskiej czem odwilżyć gardła, skoro w myśl przepisów pana fizyka, a dziś ministra, nie powinno się używać wody nieprzegotowanej, a chyba trudno wymagać, aby się zabierało ze sobą na wycieczkę samowar, zwłaszcza że się go nie ma, gdyż zarekwirowały go w swoim czasie cesarsko-królewskie władze austryackie, gdy im zabrakło surowego materyału do fabrykacyi wojennych orderów.

Głównie dawał się odczuwać brak piwa i to nie tylko na Woli Justowskiej, ale i w Krakowie, gdzie coraz rzadziej można się spotkać ze szklanką żółtego lub czarnego trunku, nazywanego wprawdzie piwem, ale z niem prócz barwy nic wspólnego nie mającego.

Do tego dołączyło się jeszcze zamykanie szynków, knajp, restauracyi, kawiarni, cukierni itd. o godzinie dziewiątej wieczór. Zarządzenie to wydano z powodu zaburzeń w dniach poprzednich, karające w ten sposób tych, którzy w tym kierunku byli zupełnie niewinni.

I nic też dziwnego, że niejeden Krakowianin poszedł w tym dniu spać głodny, spragniony, no i zmęczony i niejednemu przyśniło się w nocy cygani. Jednemu z nych znajomych przyśniła się stara cyganka i nawet wróżyła mu z kart i dłoni, podając numery na loteryę, niestety, nie mógł ich postawić, gdyż tę dobroczynną instytucyę wzięli dyabli równocześnie z mamą Austryą, a rząd polski, nie troszczący się widocznie o zaspokojenie kulturalnych potrzeb swych obywateli, nie postarał się dotąd o coś w tym guście.

A propos piwa muszę zaznaczyć, że niektóre krakowskie firmy dotąd jeszcze ogłaszają dla reklamy, że sprzedają oryginalne piwo pilzneńskie.

Pomijając już okoliczność, że jest to najordynarniejsze kłamstwo, gdyż z Czech nie nadchodzi do nas piwo już więcej jak rok, sądziłbym, że szanujący się kupiec polski nie powinienby chyba w tych czasach i warunkach popierać przemysł i wytwórczość Czechów, naszych otwartych wrogów i ogłaszając się w ten sposób, szkodzi sobie raczej a nie pomaga.

Onegdaj dopiero napotkałem *w Nowinach* tego rodzaju anons pewnej młodej firmy z Rynku głównego.

W innym lokalu zapewniano mnie, że najdalej już za miesiąc będziemy mieć „oryginalnego pilznera“, mnie się jednak zdaje, że i na tem polu powinniśmy bojkotować Czechów, zwłaszcza, że bez piwa można się łatwo obejść, a kto bez niego rady sobie dać nie może, niechaj gasi pragnienie krajowem. Okocim, Żywiec, Tarnów, Tenczynek, Limanowa itd. mają już wyrobione marki i stanowczo więcej się rozchodzi stąd flaszek w różne strony świata, niż z niejednej miejscowości posiadającej słynne źródła mineralne.

Ponieważ przy piwie zwykle sobie każdy obywatel lubi „zapalić“, niechaj mi wolno będzie wyrazić na tem miejscu *votum* nieufności i to zupełnie seryo pod adresem Zarządu Monopolu tytoniowego.

Po raz nie wiedzieć już który, podrożało to, co się tytoniem nazywa i to do tego stopnia, że byłoby zupełnie uzasadnione wkroczenie Straży obywatelskiej i oddanie sprawy sądowi karnemu. Ten znalazłby się dopiero w krytycznem położeniu, nie wiedząc, co z tym fantem zrobić. Bo, że się tutaj ma do czynienia z paskarstwem, o tem niema dwu zdań.

Gdyby przeciętny kupiec lub przemysłowiec podniósł w ten sposób ceny swych artykułów i gdyby ponadto dawał podobne świństwo, już dawno siedziałby w kryminale, lub może nawet byłby się spotkał z ową ławą magistracką, która tak zalazła w głowę naszym cywilnym paskarzom. Nic zresztą w tem dziwnego. Ława ma nogi, więc też łazi.

Odezwę, podpisaną przez odwokata dra Skąpskiego, wydaną w imieniu Komitetu walki z lichwą powinien wziąć sobie do serca Zarząd Monopolu tytoniowego.

Wezwano w niej kupców, przemysłowców, rękodzielników itd. do zniżenia cen, a miało to taki skutek, że w pewnym lokalu potaniało wino (ale smak jego się pogorszył!...) i cukierki miętowe, obiecano nadto, że za tydzień potanieje prawdopodobnie cielęcina, a za dwa tygodnie i wódka, gdyż szynkarze mają przyznany przydział spirytusu po niskiej cenie.

Czego się więc chwycić, tego albo brak, albo tak wszystko drogie, że się tego nawet i dokupić nie można. Zdaje się, że magistrat zrezygnował już z taryfy maksymalnej i pozwala na wolny handel, co się ma w ten sposób tłumaczyć, że każdemu „wolno“ drzeć skórę z bliźnich, ale ostrożnie, by się przypadkiem nie dostać w ręce pana radcy Rosławińskiego, będącego widomym zastępcą karzącej sprawiedliwości, o ile to dotyczy krakowskich paskarzy.

Dotąd śmiali się oni z wyroków, wnosząc zażalenia coraz to wyżej, ale nie spodziewali się bynajmniej, że tak rychło utworzony będzie senat galicyjski przy Najwyższym Sądzie w Warszawie.

Już jest im też rura ogromnie zmiękła.

Na tym ich interesie paskarskim wyszli najlepiej adwokaci, ale im to nie dziwne, gdyż do tego znajdują częściej sposobność.

Znam wypadek, gdzie jakiegoś biedaka przejechał automobil i srodze poturbował. Sprawa przeszła na drogę sądową, a gdy przeszła wszelakie instancye, pokazało się, że automobil przejechał właściwie pana mecenasa, choć bowiem poszkodowany wygrał, to kwota, jaką mu przyznano, wystarczyła zaledwie na pokrycie kosztów adwokackich.

Gdy mowa o płaceniu, zaraz każdemu przychodzą na myśl pieniądze. A i z nimi kłopot, gdyż ich brak. „Grube hopy“ mają jedynie wybrani, to jest ci, którym się udało zrobić na wojnie dobry interes. Reszta ludności zadowolona była, mając bodaj „drobne“.

A dziś i ich nie mają! Jak już poprzednio wspomniałem, drobne u nas zniknęły gdzieś, dzięki spekulantom, którzy je wywieźli za granicę, my zaś zostaliśmy literalnie... bez korony.

Magistrat wprawdzie miał wydać i wyda podobno, ale niewiadomo kiedy, swoje bony, główny jednak nacisk kładzie na to, aby one miały wygląd artystyczny.

I ma racyę!... Im pieniądz ładniejszy, tem więcej znajdzie amatorów, chcących go w swych zbiorach pomieścić. Zrozumieli to dobrze nasi kupcy wydając swe własne bony, skoro się nie mogą doczekać na magistrackie. Tylu jest dziś zbieraczy osobliwości wojennych, że można śmiało powiedzieć, że połowa tych asygnat przejdzie do zbiorów, druga zaś połowa zniszczy się, a kupiec nie będzie potem musiał wymieniać je na gotówkę. Rozchodzi się więc także i o to, aby papier na nie był jak najgorszy i kto wie, czy właśnie z tego powodu nie nastąpiło opóźnienie w wydaniu bonów miejskich. Magistrat poszukuje takiego papieru ale go znaleźć nie może.

Miejmy nadzieję, że go jednak znajdzie zanim miejsce korony zajmie złoty polski, mający się dzielić na sto groszy, równających się wartością z obecnemi koronami, dzięki racyonalnej gospodarce finansowej naszych sfer decydujących, szczególniej zaś życzliwości, z jaką spotykamy się stale ze strony władz centralnych w Warszawie. Już dziś możemy sobie powiedzieć zupełnie otwarcie, że ze zmiany waluty wydziemy stanowczo... bez kamizelki. Korony miano stemplować, ale skończyło się na niczem. Pan minister Karpiński orzekł, że korona, czy ze stemplem, czy bez stempla, jest dyabła warta i, jako dziedzicznie obciążoną skazał ją na śmierć. Miał racyę to prawda, ale nie miał litości nad kieszeniami tych nieszczęsnych Galileuszów, na których wszystko się sprzysięgło.

Ale kto widział łamać sobie głowę nad jakąś tam kwestyą korony ziemskiej. Niech ona sobie będzie nawet i austryacką, skoro każdy i każda z nas powinni mieć przed oczyma jedynie koronę niebieską i do niej dążyć, na resztę się nie oglądając.

Tak czyni właśnie i kronikarz, ciesząc się już z góry ową „niebieską“ koroną, do ziemskich nie miał bowiem szczęścia. Uciekały odeń jak od zapowietrzonego...

A teraz kolej na ostatni, najważniejszy punkt porządku dziennego, *recte* tygodniowego, choć tak go nazwać nie można, gdyby bowiem u nas panował w samej rzeczy porządek, nie byłoby stanowczo przyszło do tych ubolewania godnych zaburzeń, których widownią był Kraków akurat w przededniu Zielonych Świąt.

Za roztrąbiono o tem bardzo głośno i szeroko po świecie, o tem wie każdy. Doszło do tego, że zjechał do Krakowa specyalny korespondent i fotograf francuskiej illustracyi z Paryża, aby na miejscu porobić zdjęcia celem podania ich potomności, zdaje się jednak, że przyjdzie im to z trudnością. Kraków po pogromie wygląda zupełnie taksamo, jak przed nim, a że tam temu lub owemu obywatelowi naprawdę przez dwa lub trzy dni ze strachu dusza siedziała na ramieniu, to jeszcze nic tak strasznego, aby aż miało być nwiecznione czarno na białem.

Zastanowić się przecież warto, co było powodem tych niepokojów, nazywanych nie wiem dlaczego, antiżydowskimi, skoro rabowano i sklepy chrześciańskie, a jedyną ofiarą, która przypłaciła życiem, to kobieta katoliczka, a nie żydówka.

Przed dwoma tygodniami przestrzegałem na tem miejscu, że może być źle, jeśli się nie położy kresu prowokacyom i to wychodzącym stale z tej strony, która się uważa za prześladowaną i prowokowaną, a w gruncie rzeczy dąży stale do tego, aby uniemożliwić harmonijne współżycie z większością.

Wadze nasze, smutne to, a jednak prawdziwe, choć w skład ich wchodzą ludzie ci sami, co za czasów austryackich popadły w jakiś dziwny bezwład i ospałość. Jeden jedyny sąd daje jeszcze znaki życia, walcząc dość skutecznie z paskarstwem. Nie widzi się natomiast tej energii, z jaką się dawniej ścigało jednostki rzekomo dla państwa niebezpieczne, śledziło je, aresztowało, wywoziło, gdy natomiast dziś, gdy takich, dla polskiego państwa niebezpiecznych indywiduów namnożyło się mnóstwo, nie znajdzie się nikt, kto położyłby kres ich niecnej robocie.

Rządzą się u nas, jak u siebie w domu i przyczyniają się w wysokim stopniu do wywołania łatwo zrozumiałego rozgoryczenia i zniecierpliwienia w tych tak nerwowych czasach. Obce wpływy i pieniądze grają bardzo wybitną rolę w tym kierunku, gdzie zaś można znaleźć tych, którzy stale szukają obcych bogów, a swoich lekceważą, chyba palcem pokazywać nie trzeba.

Już nieraz się mówiło i pisało, że są ludzie, którym na tem zależy, aby u nas nigdy nie było ładu i porządku, tych zaś szukać się powinno poza granicami kraju, wewnątrz zaś znajdzie się tych, którzy na ich koszt i niebezpieczeństwo prowadzą całą akcyę, ale tylko do czasu, dopóki się ucho nie urwie.

„Łuk“ Kadena.

Czytając powieść Juliusza Kadena Bandrowskiego ma się wrażenie że rozmawiamy z jakąś tęgą w mowie przekupką krakowską, która gada i gada, ale ciągiem; czasem z dużą swadą retoryczną, zaprawioną mocno kręcącym w nosie paprykowanym, jak się to mówi pieprzowym sosem, który na przeciętnego łazika zrobi piorunujące wrażenie, ale na krytyczniej patrzącego człowieka bardzo niesmaczne. Bo też pomijając niektóry niedorost artystyczny,



„Łuk“ Kadena: Juliusz Kaden Bandrowski.

co to się zdarzy każdemu, ale do licha przecie i w obecnych czasach od pisarza mającego i najmniejsze pretensye do wielkości musi się wymagać pewnego poczucia estetycznego, które można czasem oddać nawet w obrazach najbardziej naturalistycznych. a co nie zawadzi mieć na myśli nawet futurystom, którzy przy dobrych chęciach mogą dać rzeczy nawet wysoce artystyczne. Bo przecie naturalistą był Flaubert w „Mme Bavary“ i był nim Żeromski w „Dziejach grzechu“, ale o ile tych w swoim naturalizmie można nazwać prawdziwymi artystami o wysokim locie, o tyle Kadenowi jeżelibyśmy go sądzili z „Łuku“ nawet brak skrzydeł, a cóż dopiero zdolności do lotu. Naprawdę i najbardziej optymistyczny krytyk odczuwa taką początkową scenę w kawiarni za coś bardzo dziecinnego, pytając się mimowoli, czy to przypadkiem Kaden nie wziął szereg trzcionek w garść i na byle jak nie rozsypał je na tych kilku stronicach, bo raz, że trudno sobie to inaczej wytłumaczyć znając autora „Łuku“ jako jednego z wielkich nowelistów, a drugi to wściekie ziewanie, które każdemu w czasie czytania rozdziera szczęki. Recenzent w warszawskim „Swiecie“ mówi o wysokiej indywidualności Kadena, niby rękami i nogami. wyłażącej z „Łuku“, nie wiem, czy przemówiły tu jakie sympatye formistyczne, ale do pioruna, nigdzie tego nie mogłem zobaczyć, mimo bardzo uważnego czytania. Chyba, że wedle nowszych pojęć estetyki powieściowej nazwie się te łamańce i cyrkowe sztuki językowe, które trzymano w karbach w dotychczasowym dorobku literackim Kadena i przez to równomierne wcale, ale przecie pod takim kątem patrzenia ni zdziebełka indywidualizmu nie dopatrzymy się, ani u Reymonta ani Żeromskiego, a cóż dopiero u Sienkiewicza i Prusa.

Niech sobie każdy mówi co mu się żywnie podoba, ja nie neguję pewnej wartości nowego prądu literackiego (naturalnie o tej wartości darujcie, ale dziś jeszcze mówić nie można) jeżeli jednak ma on takim być, jakiego próbkę dał nam Kaden, to lepiej niech będzie kierunkiem, ale już bardzo dalekiej przyszłości. Owszem, przyznaję pewne zalety „Łukowi“, nawet pewne przebłyski artyzmu, ale tego autor tak skąpi, jakby czytelnikom rozdawał perlistą malmazyę, no i porządnie się z tem droczył, gdy równocześnie, mam takie wrażenie, że chorobliwie zapatrzył się na Gruszeckiego, a w pewnych wypadkach uniesień idealizmu na tak sławną i tak kochaną (młode panie będą mi tu entuzyastycznie brawo bić) Mniszkównę. Tylko ten naturalizm: wpakował się tu do dyabła ten Zola i cóż robić, ani rusz dalej, a Kaden te Legiony Piłsudskiego, no i Sieroszewskiego Boga ducha winnego pomieszał, jak groch z kapustą z marcowemi czułościami pani Maryski, która coś tam pamięta Pobratymską, ale naprawdę już tylko z wierzchu i to najbardziej emocyjne rzeczy — powiem grzecznie.

Rumuni w Galicyi.

W oswobodzeniu Galicyi wschodniej przyszli nam z pomocą Rumuni, z którymi łączy nas w obecnych, wspólnie zakreślonych warunkach bardzo serdeczna przyjaźn. Tak było jednak do dziś; obecnie warunki się zmieniły i rumunska przyjaźn powoli przechodzi na drogę dla nas w pewnej mierze niebezpiecznej aneksyi.

Rumuni zmilitaryzowali kolej i pocztę, do innych władz poprzydzielali swych urzędników dla kontroli. Broń konfiskują i wywożą, nie przepuszczając nawet szpadom urzędniczym; zabierają maszyny kolejowe, materyał techniczny i tym podobne, uważając to za łup wojenny. Wywieziono także kilkanaście wagonów cukru, pozostawionego przez Ukraińców. Mieszkańcy z niepokojem śledzą tę gospodarkę przyjaciela okupanta. Jak się w przyszłości te stosunki ułożą, niewiadomo, dziś należy stwierdzić fakt, że dotychczasowe jasne niebo nieco się zaciemnia.

Nowy dramat polski.

W sezonie wiosennym wystawiono w Teatrze Małym w Warszawie z niezwykłem powodzeniem sztukę Wacława Grubińskiego, p. t. „Kochankowie“, która do dziś dnia nie schodzi z repertuaru, budząc nadzwyczaj żywe zainteresowanie, połączone nawet z pewną senzacyą. Krytyka warszawska podnosząc zarówno wielkie zalety artystyczne dzieła Grubińskiego zamieszcza szczere pochwały dla pełnej wykończenia i z nadzwyczajną finezyą wykonanej gry artystów, którzy pod kierunkiem samego autora wydobyli najgłębsze tony dla oddania sytuacyi, pełnych subtelnej zawiłości, co warszawscy recenzenci zaznaczyli, podnosząc, że „Kochankowie“ to wspólne dzieło Grubińskiego i występujących artystów. p. Przybyłko-Potockiej, Osterwy i Brydzińskiego. Dodać należy, że dyrektor teatru, p.



Z operetki. Sydonia Rotowska.

Szyfman, nie szczędził kosztów, ani trudów by zapewnić sztuce najwydatniejszą oprawę.

Z operetki.

O ile coś teatr im. Słowackiego niema szczęścia do artystów (tracimy pp.: Solską-Grosserową, Czaplińską, Jarszewską i Kamińską), których jeżeli po bożym świecie zdoła się pozyskać czułemi słowami zaraz dzięki jakiemuś fatalizmowi musi się stracić, o tyle operetka dokłada wszelkich starań, aby dać publiczności siły najlepsze. Obecnie dowiadujemy się, że pozyskano p. Sydonię Rotowską, młodą debiutantkę lwowską, ale już o szerokiem imieniu. Pani Rotowska zyskała sympatyę nie dzięki jakiemuś olbrzymiemu woluminowi, którego nie posiada, ale należytej emisyi, wzorowej i swobodnej, pewnej impostacyi, poprawnej dykcyi i dobremu frazowaniu, co rokuje jej daleką karyerę artystyczną. To też rolę „Chryzys“ w „Lyzystracie“ Linckego zyskała sobie gorące oklaski. Dlatego należy się wdzięczność kierownictwu krakowskiej operetki, za pozyskanie nowej i wdzięcznej siły.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Z. Rogalski, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda rozwiązanie pożądane przez świat cały.

■
— ■ —
— ■ —
— — ■ — —
— ■ —
— ■ —
■
— ■ —
— ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —
— ■ —
— — ■ — —
— — ■ — — —

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Polski herb. 3) Imię żeńskie. 4) Część budynku. 5) Okres czasu. 6) Wykrzyknik. 7) Samogłoska. 8) Krzew ogrodowy. 9) Rzeka na Śląsku. 10) Miasto graniczne w Galicyi wschodniej. 11) Ptak drapieżny. 12) Część doby. 13) Utwór poetycki. 14) Zabawa rycerska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Rosner, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bój, Gobi, kubek, tabaka, g. Kuk.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Pikuś z Wieliczki.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie, które wywołało radość w całej Polsce.

O — a
k — s
a — a
e — a
s — k
E — s
ł — d
i — s
a — a
S — s
l — n
l — n
s — n.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Niemiec, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w poziomych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko o światowej dziś sławie.

■ — — — — —
— ■ — — — —
— — ■ — — —
— — — ■ — —
— — — — ■ —
— — — — — ■

Znaczenie wyrazów: 1) Znany muzyk niemiecki 2) Pseudonim polskiego literata. 3) Roślina z miejsc bagnistych. 4) Współczesny polski malarz. 5) Miasto w Ameryce. 6) Amerykański miliarder.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) książkę p. t. „Męczeństwo Belgii" 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i 25 kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 23

Zagadka literacka. Pan Tadeusz, Ojciec zadżumionych, Treny, Ostatni z Siekierzyńskich, Pacholę hetmańskie.

Łamigłówka. Rada, Ezaw, liga, Oran, Ryga, mara, Adam, arka, gama, Rzym, agat, roki, niwa, amen.

Zadanie konikowe. W każdej bajce jest albo pies, albo kot szary.

Grzebieniówka. Jawa, a, Nero, S, opal, b, Iran, e, Sola, k, Idzi.

Zadanie do uzupełnienia. 1) Za wiarę ludzie giną. 2) Nim słońce zejdzie, rosa oczy myje.

Zadanie do przestawienia. Poznać błazna i bez dzwonków.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Malicki Lwów, Z. Grodecẏl Kraków, M. Osadzińska Nowy Sacz, J. Jankowski Kraków, W. Bylicki Tarnów, H. Danek Lwów, S. Niedźwiedzki Warszawa, J. Lipowski Lublin, M. Obst Lwów, J. Guzik Kraków, H. Oszacka Wadowice, K. Broda Limanowa, J. Polański Krynica, M. Lisowska Kraków, J. Bartuszek Kraków, H. Giliński Rzeszów, K. Radoszewski Tarnów, J. Bernatowicz Kraków, H. Wilczyńska Sanok, H. Zieliński Warszawa, J. Jaworski Jasło, S. Krzyżanowski Lwów, H. Gawlas Częstochowa, J. Gross Lwów, M. Lipski Wiedeń, J. Sperling Jasło, K. Łopatyński Jasło, W. Domański Kraków, M. Leja Rzeszów, J. Ksawicki Rozwadów, S. Nowicki Warszawa, M. Kosiński Lwów, F. Jasiński Kraków, J. Wilczyński Kraków, S. Kalczyński Jordanów, Z. Sulimirski Warszawa, J. Reichert Łódź, M. Trzeciak Warszawa, J. Jagłarz Wadowice, H. Dworzański Rzeczyca, S. Karczmarski Poddębie, J. Rosenbaum Rzeszów, Z. Sperling Wiedeń, K. Lewicki Lwów, J. Augustynowicz Kraków, K. Rawski Zakopane, M. Wilczyński Sambor, J. Nowak Lwów, B. Popiel Kraków, J. Jagodziński Kraków, M. Mróz Kraków, K. Münz Lwów, Z. Troczyński Przemyśl.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) **B. Popiel Kraków** (książka). 2) **M. Leja Rzeszów** (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.